



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



B. Dyakowski.

ZWIERZĘTA PRZEDPOTOPOWE.

II.

Najdawniejsza epoka nosi nazwę *Archaicznej*, co znaczy bardzo dawnej. Morza pokrywały wówczas przeważną część powierzchni ziemi, gdyż warstwy, powstałe w tej epoce, zostały wykryte prawie wszędzie. Klimat był bardzo gorący, o jakim dzisiaj nie mamy nawet pojęcia. Ale za to istot żywych było nie wiele: w morzach rosły jedynie wodorosty i mieszkaly robaki morskie, oraz niektóre inne zwierzęta o prostej budowie, które mogły znosić ówczesne warunki.

Zresztą o tych najdawniejszych zwierzętach nie wiele możemy powiedzieć, gdyż odciski ich prawie nie doszły do nas. Jeżeli i były jakie, to uległy ogromnym zmianom, pod wpływem ciśnienia pokładów, które powstały w ciągu następnych epok. Tak, że dziś ze śladów, jakie do nas doszły, trudno dojść, jak wyglądały te zwierzęta.

Druga epoka nosi nazwę *Paleozoicznej*, czyli epoki dawnych zwierząt, gdyż z niej pochodzą najdawniejsze wyraźne skamieniałości zwierzęce. I wówczas klimat był wszędzie jednakowy: gorący i wilgotny, tak, że życie zupełnie się rozwijało, zarówno pod równikiem, jak i na biegunach. W istocie, skamieniałości z tych czasów zawierają jednakowe gatunki roślin i zwierząt, bez względu na to, w jakiej części świata zostały znalezione. Ale za to flora i fauna ulegały powolnej zmianie przez ciąg trwania tej epoki i pod koniec inne już były, niż na początku. Ze względu na te zmiany uczeni podzielili tę epokę na 4 okresy. Warstwy, osiadłe w ciągu każdego z tych okresów tworzą jedną formację i zawierają podobne skamieniałości. W ten sposób w czasie epoki paleozoicznej utworzyły się 4 formacje: *silurska*, *devonjska*, *węglowa* i *triasowa*.

Łądy paleozoiczne miały wciąż jeszcze kształt wysp rozmaitej wielkości. Ilość ich ku końcowi powiększyła się wprawdzie bardzo, w każdym jednak razie przewaga pozostała po stronie mórz, które się rozciągały na ogromnej przestrzeni.

W głębinach ich, wśród gąszczów, utworzonych z wodorostów, roilo się od rozmaitych zwierząt. Obok nieruchomych koralów i gąbek pływały rozmaite mięczaki i skorupiaki, z których na szczególniejszą uwagę zasługiwały *trylobity*, z kształtu podobne raczej do stonogi, niż do zwykłego raka (p. str. 44). Pełno ich było w ówczesnych morzach. Ale bardzo prędko ilość ich zaczęła się zmniejszać i pod koniec epoki paleozoicznej stworzenia te wyginęły zupełnie.

Oprócz mięczaków i skorupiaków w morzach znajdowały się także ryby, ale niezbyt licznie. Miały one oryginalną postać, gdyż były całkiem okryte twardymi pancerzami.

Łądy z początku porośnięte były nędzną roślinnością, która jednak stopniowo rozrastała się coraz bardziej i w okresie węglowym utworzyła okazałe, olbrzymie lasy. Wyglądały one, co prawda bardzo dziwacznie.

Drzewa w nich, chociaż wysokie, nie były wcale podobne do drzew. Jedne, tak zwane *kalamity*, przypominały nasze skrzypy polne: miały taką samą szyszeczkę na wierzchołku i gałązki tak samo ułożone okółkami w pewnych odstępach. Inne, *lepidodendrony*, posiadały pień prosty; bez gałęzi, rozwidlający się na dość znacznej wysokości w 2 gałęzie, które następnie jeszcze kilkakrotnie się rozwidlały na cienkie gałązki. Listeczki znajdujące się na najcieńszych, były wąskie, trawiaste, a na końcach gałązek znajdował się rodzaj kłosa. Takie lepidodendrony, ale zmniejszone do rozmiarów drobnej roślinki, rosną i dziś w na-

szych lasach; noszą one nazwę widłaków i bywają używane do ozdoby stołów wielkanocnych. *Lepidodendrony* zaś dosięgały 30 metrów wysokości, to jest miały wzrost wyniosłych drzew leśnych. *Kalamity* były nieco niższe.

Zmalały więc te gatunki od tego czasu, jeżeli dziś potomkowie ich ledwie się wznoszą na powierzchnię ziemi. W okresie największego swego rozkwitu, to jest w węglowym, tworzyły one wraz z niewielką ilością drzew iglastych, gęste lasy o charakterze dzisiejszych lasów nad brzegami rzek zwrotnikowych. Z nagromadzenia tych ogromnych ilości drzew, powstały pokłady węgla kamiennego, od którego cały okres otrzymał swą nazwę.

W cieniu tych gorących wilgotnych lasów latało trochę owadów, zwłaszcza podobnych do naszych ważek, oraz kręciły się wiję i pajaki.

Było tam także trochę salamander i jaszczurek, drobnych zwierzątek, nie większych częstokroć i mniejszych od dzisiejszych, chociaż trafiały się między nimi i olbrzymy, jak na owe czasy, mające po 1½ łokcia (prawie metr) długości. W każdym jednak razie zwierzęta lądowe z epoki paleozoicznej nie mogły wzbudzać najmniejszej nawet grozy.

III.

Trzecia epoka nosi nazwę *mezozoicznej*, to jest epoki zwierząt pośrednich między dawnymi a nowymi. W epoce tej ilość mórz zmniejszyła się do tego stopnia, że istniały już nie tylko duże wyspy, ale nawet całe lądy, poprzecznymi wysokimi łańcuchami gór. Większa ilość lądów oraz obecność gór spowodowały już pewne różnice klimatyczne. Klimat prawie wszędzie był zwrotnikowy, ale w jednych okolicach cieplejszy, w innych zimniejszy. Sądzić o tem możemy z tego, iż skamieniałości z rozmaitych części świata różnią się między sobą, co dowodzi, iż posiadały one wówczas rozmaite flory i fauny.

Największa ilość stworzeń zamieszkiwała wciąż pewne morza, ale i na lądach było ich więcej, niż w poprzedniej epoce.

Lasy zmieniły swój wygląd: zamiast kalamitów i lepidodendronów, królowały w nich najrozmaitsze gatunki drzew szpilkowych, właściwe krajom gorącym. Obok nich wznosiły się paprocie drzewiaste, sagowce i palmy prawdziwe. Przy końcu epoki ukazały się pierwsze drzewa liściaste: klony, dęby, wierzby i inne. W każdym jednak razie czasy te można nazwać wiekiem drzew iglastych, gdyż ich było najwięcej.

W państwie zaś zwierzęcem pierwsze miejsce zajmowały gady. W poprzedniej znajdowało się ich bardzo niewiele, w tej zaś zjawilo się mnóstwo. Był to prawdziwy wiek gadów! Przy końcu dopiero ukazało się trochę ptaków i ssących.

Epokę tę dzielimy na trzy okresy, odpowiednio do wybitniejszych różnic fauny i flory: *triasowej*, *jurajskiej* i *kredowej*.

W okresie tryasowym, stanowiącym początek epoki, gady nie były jeszcze zbyt liczne, chociaż w morzach obok ryb mieszkaly już duże jaszczurki wodne. Zjawily się także raki o długim odwłoku, jak dzisiejsze lub z bardzo krótkim, jak kraby; zajęły one miejsce dawnych trylobitów.

Na lądach owadów było znacznie więcej. Skamienia-
łych gatunków znaleziono dotychczas przeszło 200, a przecież zapewne nie są to już wszystkie! Najważniejszą jednak istotą między zwierzętami była jaszczurka żabowata, nazwana *Labiryntodontem*. Tułów miała ona niby jaszczurki, niby żaby, nogi przystosowane do skakania, głowę również żabią, ale zakończoną długim pyskiem krokodyla, z ostrzami zębami. Nie wiadomo dokładnie jaka była wielkość tego stworzenia, gdyż nie znaleziono całej skamieniałości. W każdym jednak razie głowa jego posiadała długość 80 cm, to jest przeszło 2½ stopy. Znane są okazy o głowie 3 razy dłuższej (2½ metra). Musiał to więc być potwór niemały!

Wyobraźmy sobie teraz spotkanie z takim zwierzęciem,, które przy paszczy krokodyla musiało dawać skoki, jak żaba, naturalnie jednak na długość odpowiednią do swej wielkości. Nie łatwo było uciec przed niem!

Labiryntodont był, bądź co bądź, więcej żabą, niż jaszczurką. Ustąpił on jednak wkrótce wiejsza prawdziwym jaszczurkom.

W morzach jurajskich mieszkaly ogromne jaszczury, czyli smoki wodne. Widok takiego morza mamy na dole naszej ryciny (str. 41), wraz z największymi z jego mieszkańców: rybojaszczurem (ichthyosaurus) i wężojaszczurem (plesiosaurus). Pierwszy z nich przypominał nieco dzisiejszego delfina: miał tułów krępy, długi jaszczurczy ogon, 4 pletwy i ogromną głowę z zębami, jak u krokodyli, osadzoną na krótkiej szyi. Wielkością dorównywał największym gatunkom rekinów, był więc tylko dwa razy mniejszy od wieloryba.

Wężojaszczur był znacznie mniejszy, bo ledwie dwa razy większy od suma. Miał takie same pletwy, ogon znacznie krótszy, ale za to nadzwyczaj długą szyję, na której osadzona była mała główka. Przypominał on nieco jakiegoś olbrzymiego ptaka, gdy wyciągał do góry tę swoją szyję i następnie zanurzał głowę w wodzie, chcąc schwycić jaką ofiarę.

(d. c. n.)

MAŁY ZBAWCA

POWIASTKA

przez

Zofię Kowerską.

(Dokończenie).

— Proszę pana — rzekł, zwracając się do doktora — cohy tu zrobić, żeby rodzicom moim dać znać o tem, że ja żyję i że jestem tu z państwem? Oni tam bardzo niespokojni! Miałem jeszcze dziś drzewa narażać i krowę wydać.

— Dany im znać, mój chłopcze. Teraz wracamy do stacyi, z której wyjechaliśmy. Stamtąd zatelegrafujemy zaraz i za parę godzin najdalej, rodzice twoi będą wiedzieli, że żyjesz, będą wiedzieli, jakiego czynu dopełniłeś.

— A teraz Antosiu, opowiedz mi od początku jak, to było — prosił Bronis.

Antoś, choć rozgorączkowany, począł opowiadać jak go matka posłała po sprawunki, jak wracając o zapadającym już dobrze zmierzchu spojrzawszy przypadkiem na tor i zobaczył, że wstęgi szyn przerwane były w jednym miejscu. Opowiedział jak wpadł na pomysł zapalenia ogniska z gałęzi obłanych naftą; jak, bojąc się, że się te gałęzie zmarnieją od razu nie zapala, nalał nafty w czapkę barankową, by od razu buchnęła płomieniem. Opowiedział o swoim strachu, gdy wilki wyć zaczęły, o złych ludziach cieszących się naprzód z okropnego nieszczęścia, przygotowanego przez nich, wreszcie z najwyższym zapalem mówić począł o tej odwadze, która go nagle ogarnęła, gdy zobaczył w dali czerwone oczy pociągu i pomyślał, że tam w wagonach ludzie niczego złego się nie spodziewają, a śmierć mają przed sobą.

— Jaby takiej odwagi nie miał — mówił Bronis ze smutkiem, chciałbym uratować pociąg od nieszczęścia, ale nie potrafiłbym. Od wilków bym uciekł, od rozbójników bym uciekł... Mówię ci, że ja nie mam ani odwagi, ani siły...

Antoś pocieszał Bronisia.

— Znalazłbyś odwagę. I ja nigdy nie myślałem, że taką rzecz wyśniesz i zrobić potrafisz! Przytem ty nie jesteś synem droźnika.

— A cóż to do odwagi pomaga?

— Bo mój ojciec powiedział, że chybaby umarł z rozpacz, gdyby na jego torze pociąg się wykościł.

Doktor słuchał rozmowy chłopców i wtrącił się do niej:

— Myślę, mój Bronisiu — rzekł — że i tybys potrafił postąpić tak, jak Antoś.

— Nie, tatuściu, nie — zawołał Bronis — jaby tego nie potrafił, ale zazdroścę Antosiowi, że on ma taką odwagę i dzielność!

Pociąg się zatrzymał. Stał znowu na stacyi, którą przed godziną opuścił.

Podróżni wysiadali, dopytując się konduktorów co dalej będzie; byli niespokojni i skłopotani.

— Cóż ja teraz pocznę? — zapytał Antoś, którego głowa coraz mocniej bolała, a poparzone ręce dotkliwie zadawały mu cierpienia.

— O nic się nie kłopotcz — odparł doktor. — Nie ruszaj się i czekaj, aż zawołam posługaczy, którzy cię wyniosą z wagonu. Jesteś na mojej opiece i opiekę tę zdam dopiero twoim rodzicom, gdy cię do nich odwiozę.

Na małej stacyi, na której się znajdowano, nie było co jeść i głodni pasażerowie rozchwytywać zaczęli bułki i co się znalazło. Doktor, który wysiadł z wagonu i wszedł do małej sali, gdzie był stół ogromny, zbliżył się do obłożonego bufetu i zawołał:

— Moi panowie i panie! Jesteśmy głodni, to prawda, ale musimy przede wszystkim nakarmić naszego małego zbawcę, który od południa nic nie jadł i potrzebuje posiłku.

Na te słowa, podróżni, tłoczący się przy stole, na którym stał buchający parą, niewielki samowar i leżało trochę bułek i szynki, rozstąpili się i pozwolili doktorowi posłać Antosiowi przez posługacza szklankę herbaty, dwie bułki i prawie cały zapas szynki. Sam zaś doktor poszedł telegrafować do rodziców Antosia. Pokazało się jednak, że z tej stacyi było do domu droźnika bliżej, niż z następnej i posłano do Poturskich konnego posłańca z listem, w którym doktor pisał:

„Antoś jest w bezpieczeństwie, ale zmęczony i nie zupełnie zdrow. Wasz dzielny chłopiec wracając ze sprawunkami, odkrył zamach niegodziwy na pociąg pospieszny i swoją przytomnością i odwagą zdołał ostrzedz maszynistę o niebezpieczeństwie. Macie państwo w tym chłopcu skarb, którego można wam pozazdrościć. Jutro odwiozę wam sam Antosia.”

„Doktor Zbydniowski.”

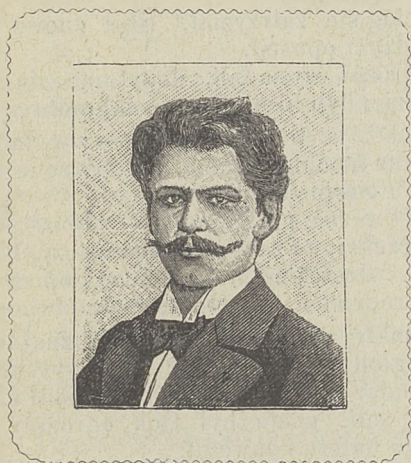
Tak jak z pierwszeństwem Antosia do jedzenia, tak też się stało z jego spoczynkiem. Podróżni jednomyślnie ustąpili mu jedyną kanapę, znajdującą się w małej poczekalnej sali. Posługacz wniósł chłopca otulonego w wielką, futrzaną pelerynę i postawił go na ziemi. Gdy zdjęto z ramion Antosia pelerynę i ukazał się on w szafirowym ubranku Bronisia, błądy, zbiedzony, z opalonymi trochę brwiami i włosami, z rękami owiniętymi w białe płótno, skulony i zmizerowany, między podróżnymi ozwały się okrzyki:

— Jaktó, to ten chłopiec? Takie maleństwo zdobyło się na taki czyn?

Antoś chciał im powiedzieć, że nie był wcale maleństwem, bo już miał lat jedenaście; ale nie miał nic siły i nawet mówić nie mógł. Położono go na kanapie, gdzie zaraz usypiać zaczął, a podróżni, którzy go otaczali, patrzyli na niego z czułością taką, jak matka patrzy na chore dziecko, o którego życie się boi.

Ale szczególnie przypatrywała się Antosiowi bardzo piękna, wysoka i wystrojona pani, która nic dotąd o całym zajściu nie wiedziała, gdyż się wcale nie obudziła, jadąc sama jedna w przedziale pierwszej klasy. Zwracała ona uwagę podróżnych swoim strojem, swoją pięknoscią i troskliwością, jaką otaczała szkatułkę dużą i ciężką, którą panna służąca obok niej postawiła. Poczęto szeptać po sali, że to była panna Turbini, śpiewaczka sławna w całym świecie. Ja-

kiś pan zbliżył się do niej i po francusku opowiadał jej cały wypadek. Wtedy Broniś, który po francusku dobrze mówił, zbliżył się też do niej i powtórzył jej rozmowę rozbójników, którzy wiedzieli, że ona właśnie tym pociągiem jedzie. Panna Turbini była bardzo przerażona. Po chwili otworzyła szkatułkę i oświadczyła po francusku, że skoro Antoś uratował jej życie i ocalił jej brylanty, więc ona chce uczynić mu prezent. Pozwoli mu wybrać z kosztownych ozdób, zamkniętych w szkatułce tej, która mu się najlepiej spodoba. Obudziła gwałtem Antosia i kazała Bronisiowi opowiedzieć mu



Jan Szczepanik.

czego sobie życzyła. Rozespany Antoś nie od razu zrozumiał o co chodziło, ale gdy wreszcie pomyśl panny Turbini przedostał się do jego zmęczonej głowy, uczynił znak ręką, jak gdyby odpychał szkatułkę.

— Po co mi to? — rzekł głosem znękanym. — Nie wezmę z tej szkatułki ani jednego kamyczka! Ja nie dla zapłaty... ja tego nie chcę...

I biedny chłopczyzna, któremu sen przerwano, ze zmęczenia i bólu w poparzonych rękach, cicho płakać zaczął.

Wtedy panna Turbini wymyśliła inny sposób zapłacenia Antosiowi za to, że uratował jej życie i ocalił jej kosztowności. Usiadła na brzegu kanapy, na której leżał chłopczyzna, poczęła głaskać jego rozczochrane włosy i jakby była matką pragnącą uspić płaczące dziecko, zaczęła śpiewać. Z jej ust, lekko rozwartych płynęła naprzód kołysanka cicha, ale tak rzewna, tak słodka, tak czarowna, że Antoś, który sam na fujarce grywał i okrutnie granie i śpiewanie lubił, doznał takiej przyjemności, jakiej mu nigdy nie sprawiły jeszcze ani huśtawki leśne, ani ślizgawka w zagłębieniu na polu, ani owa piłka rzucona mu przez Bronisia. Zapomniał, że był zmęczony, zapomniał, że go ręce bolały, że w głowie biły mu młoty. Twarz mu się rozjaśniła, usta się uśmiechały, słuchał i nasłuchiwać się nie mógł. Zdawało mu się, że w niebie anielskich słucha pieni. Podróżni stali też w zachwycie, wpatrzeni w śpiewaczkę kojącą cierpienia zmęczonego i poranionego dziecka. Panna Turbini śpiewała i śpiewała, widząc, że jej głos raduje, zachwyca i uspakaja Antosia. Wreszcie urwała, bo już była zmęczona, a Antoś swoje spieczone, dziękczynne usta przyłożył do jej ręki.

— Bronisiu — zawołał — powiedz tej pani, że jeszcze nigdy w życiu takiej rozkoszy nie zaznał! Zdaje mi się, że poszedłbym jeszcze raz na zimno i zawieruchę, i jeszcze raz gotówbym się znaleźć wśród wilków i zbrodniarzy, byle potem znów taki śpiew usłyszeć.

Śpiewaczka uściskała Antosia i powiedziała:

— Śpiewałabym jeszcze, gdybym widziała, że cię mój śpiew usypia, ale przeciwnie on ciebie moje dziecko rozbudza, a ty potrzebujesz wypocząć, chłopcze kochany!

Broniś przetłumaczył Antosiowi słowa śpiewaczki i chory chłopiec usnął wkrótce rzeczywiście.

Gdy się tylko rozwidniło, przed ganek stacji zastój najęty przez doktora Zbydniowskiego powóz, do którego wsiadła pani doktorowa, a przy niej Antoś, przodzie usiadł Broniś, doktor zaś umieścił się na koźle obok furmana.

Przed wyjazdem doktor opukał Antosia na wszystkie strony i z radością oświadczył, że płuca były zdrowe, a gorączka pochodziła tylko ze zmęczenia i z wielkiego wstrząśnienia nerwowego.

Jechano ku domkowi droźnika przez wieś koło samego sklepu. Panna sklepowa stała na progu, a że była bardzo ciekawa, więc zajrzała w głąb przejeżdżającego powozu i poznawszy Antosia zawołała, głośno, klasnąwszy w ręce.

— Jezus Marya, cóż się to stało?

Ale nikt jej nie odpowiedział. Powóz pojechał dalej, a panna sklepowa cały dzień umierała z ciekawości. Ale nie umarła, bo pod wieczór jeden z kupujących opowiedział jej cały wypadek.

Tak się zdarzyło, że Andrzej był w domu w chwili, gdy powóz wiozący rodzinę Zbydniowskich i Antosia, zatrzymał się przed drzwiami. Dróżnik sam wniósł do izby swego biednego, cierpiącego chłopca, który, obejmując choremi rękami szyję ojca szepnął:

— Wie tatuś... ja już myślałem, że tu żywy nie powrócę... myślałem, że was już nie zobaczę...

A dróżnik nagle zapłakał i przyciskając swego syna do piersi mówił:

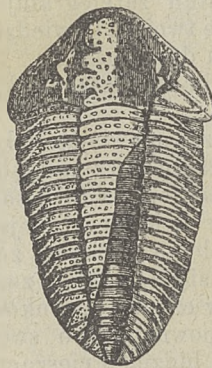
— Antoś... Antoś!.. Bóg łaskaw... Bóg jest dobry!

— Dobry — szepnął chłopiec — Bardzo dobry! A ja jestem taki szczęśliwy!

Państwo Zbydniowscy weszli do izby, gdzie doktor chciał raz jeszcze opatrzyć poparzone ręce Antosia.

— Mamo — rzekł Antoś po przywitaniu się z matką, która patrząc na błądź i wymizerowanie syna, płakała cicho. — Mamo, ja jestem zdrowy, tylko zmęczony. Mamo, ci państwo głodni, bo tam na stacji już nic do jedzenia nie było.

Kobieta się zmięszała.



Trylobit.



Owad skamieniały.

— Nie mam nic gotowego — rzekła. — Nie wiem czy państwo by przyjęli mleko gorące i chleb razowy.

— Prosimy o mleko i chleb razowy — rzekła pani doktorowa.

Broniś, tymczasem, stojąc nad kołyską Jasia emokał do niego, a tłusciuch różowy śmiał się i rączkami trzepał.

— Maryniu — rzekł Antoś do siostry oddaj Broniowi piłkę.



HEJ SKRZYPECZKI!

Hej skrzypeczki! hej kochane!
 Ja się z wami nie rozstanę,
 Jam w was przelał moją duszę,
 Z wami wiecznie żyć już muszę.
 Póki tylko życia stanie,
 Będzie piosnka, będzie granie!
 Gdy mi smutek serce ściśnie,
 Gdy mi w oku łza zabłyśnie,

Smutno grajcie skrzypki moje,
 Dzieląc ból i niepokoję.
 A gdy lepiej mi na świecie
 Wtedy też mnie rozumiecie,
 W każdej nucie drga uciecha,
 Aż świat cały się uśmiecha!
 Hej! skrzypeczki, hej, kochane!
 Ja się z wami nie rozstanę,

Bo jak się tu rozstać z wami
 Ze skrzypkami, z piosenkami,
 Oj! nie mogę, nie!
 Do was serce lgnie!

H B.

Potem zwrócił się do Bronisia i nieśmiało się odezwał:

— Żebyś ty chciał przyjąć... Ja tu mam takie filiżaneczki, zrobione z miseczek od żołędzi... To nic nie kosztuje, ale jest ładne...

Bronis ucieszył się ogromnie.

— Dobrze, wezmę co mi dasz i będę miał pamiątkę od ciebie! Jaby tak chciał, żebyś ty był moim przyjacielem!

Chłopcy uściskali się i poczęli rozmawiać i szeptać jak dwaj bracia. Przez ten czas państwo Zbydniowscy pieścili dzieci drożnika i opowiadali jak się przerazili, gdy nagle pociąg stanął wśród lasu.

Podano mleko i chleb razowy, który zając Bronis wołał, że takiego mleka nigdy w mieście nie dostaje i że on chciałby mieszkać na wsi i być drożnikiem. Możeby mu się kiedy udało uratować pociąg.

Wreszcie państwo Zbydniowscy z synem odjechali tym samym powozem, którym przybyli, a Antoś, któremu matka kazała położyć się do łóżka, długo jeszcze potem opowiadał rodzicom o pannie Turbini i o jej śpiewie tak pięknym, że chyba tylko aniołowie w niebie tak śpiewają.

Jan Szczepanik.

Nazwisko Jana Szczepanika znanem jest już obecnie w świecie całym. Nazywają go słusznie „polskim Edisonem,” gdyż dokonał już kilka znakomitych wynalazków w dziedzinie elektrotechniki.

Podobnie, jak uczony amerykański, sam bez niczyjej pomocy, własną energią i pracą, rozwinął on swoje wyjątkowe zdolności, pomimo wielu trudności.

Szczepanik niema jeszcze lat 30 i do niedawna zajmował skromną posadę nauczyciela ludowego w Korczyni w Galicyi. Obecnie mieszka w Wiedniu, posiada już wielkie środki pieniężne i stoi na czele własnych zakładów.

Pierwszy jego wynalazek nosi nazwę *telektroskopu* i służy do przenoszenia na dowolną odległość całych obrazów i widoków z zachowaniem ich rzeczywistych kolorów. Pisaliśmy o nim w roku zeszłym.

Drugim wynalazkiem Szczepanika jest przenoszenie na tkaniny w drodze fotograficznej wzorów dla tkaczy w celu wyrabiania tkanin kolorowych. Wzory takie powiększone z danych rysunków i służące za patrony do tkania, nazywają się *rastrami* (raster). Sporządzanie ich kosztowało dotychczas wiele pracy artystycznej, czasu i pieniędzy. Obecnie wykonywają je w zakładach Szczepanika w Wiedniu w sposób prosty, tani i nadzwyczaj prędko a bez żadnej ujemy pod względem artystycznym.

Pierwszy gobelin wykonany sposobem Szczepanika i przedstawiający apoteozę cesarza austriackiego Franciszka Józefa, według obrazu malarza Rauchlingera, ofiarował wynalazca sędziemu monarsze, jako dar jubileuszowy z powodu 50 letniej rocznicy wstąpienia na tron. Na wykonanie patronu do tego gobelinu, potrzeba było dawniej przy robocie ręcznej od 4 do 6 lat, gdy sposobem Szczepanika robi się... w pięć godzin! Łatwo więc sobie wyobrazić jakiego przewrotu dokonał ten wynalazek w dziedzinie tkactwa.

Cesarz, przyjmując dar, dziękował osobiście Szczepanikowi, winał mu wynalazku i zachęcał do dalszej działalności w tym kierunku. Tak więc, ten nieznany nikomu przed trzema laty samouczek, genialnością swego umysłu i wytrwałą pracą, wybił się ponad tłum milionów ludzi, z pożytkiem dla całej ludzkości i chlubą dla swego kraju.

Szczepanik wyjednał już patenta na dwadzieścia nowych wynalazków, trzymanych dotąd w tajemnicy.

KULIG

przez

Z. Morawska.

Od kilku dni pani Brygida, zajmująca się gospodarstwem w domu państwa cześnikostwa Lubołęckich, była tak mocno zapracowana, że na wszystkie pytania odpowiadała tylko kiwnięciem głowy, lub zdawała ich się wcale nie słyszeć. Miała przytem minę tak tajemniczą i wyraz twarzy tak poważny, jak gdyby nie losy kuchni i spiżarni, lecz co najmniej królestwa, jeżeli nie całej Europy, na jej głowie spoczywały.

Pani cześnikowa uśmiechała się, widząc tę zdwojoną gorliwość szafarki, nie pytała jej też o nic i nie dawała żadnych nadzwyczajnych poleceń. Czasem tylko przyciszonym głosem zrobiła z nią jakąś naradę co do nagromadzonych zapasów spiżarnianych, na co pani Brygida odpowiadała:

— Nie chwaląc się, trzebaby daleko szukać, żeby znaleźć takie jak u nas szynki, głowizny półgęski i rozmaite wędliny, nie licząc już słodyczy! Można by niemi sto osób albo i więcej uraczyć i jeszczeby zostało! — dodawała z wysokim ze swojej gospodarności zadowoleniem.

— Dobrze moja Brygido, bo to widzicie...

— Widzę, widzę i wiem, oj, wiem! niech się jejmość dobrodziejka nie frasuje i śpi spokojnie! — przerywała pocziwa szafarka, śpiesząc dalej.

Pan cześnik nie zwracał uwagi na tę krzątanie domową, miał on inne sprawy. Oto właśnie po niezbyt mroźnych i czarnych kilku tygodniach zimy, teraz codziennie w nocy śnieg pruszył, doskonała ponowa. Korzystał też z niej pan Lubołęcki i dni całe przepędzał w kniei; owocem zaś jego trudów oraz strzelców i leśniczych były wiszące na drągach przed kuchnią rogacze i dwa wielkie dziki, nie licząc drobnej zwierzyny, na którą nawet nie wiele zważano. Za to panny cześnikówny szesnastoletnia Anusia i młodsza od niej o rok Elżunia, nie były tak dyskretne, jak ich rodzice. Tajemnicza mina pani Brygidy i jej zdwojona gorliwość w zajęciach gospodarczych i przygotowywaniu rozmaitych przysmaków, napełniały je wielką ciekawością.

Starały się tę ciekawość zaspokoić, a chcąc zręcznie wybadać niezwykle milezącą szafarkę, ofiarowały jej się często z pomocą.

Lecz pani Brygida, która innym razem chętnie zapraszała do siebie dziewczątka, aby je obznajmić z rozmaitymi tajemnicami gospodarczymi, obecnie krótko odpowiadała:

— Dziękuję, bardzo dziękuję! niema nic tak ważnego do roboty, żebym potrzebowała pomocy.

— Kiedy niema nic tak ważnego, to niech Brygisia usmaży nam paczków! — mówiła Elżunia.

— Albo faworków — dodawała Anusia.

— Aha, tak, jeszcze czego!

— Wszak to już wkrótce ostatki, a jeszcze u nas paczków nie było! — wołała Anusia, przytrzymując szafarkę.

— Ani nawet racuszków! — dorzuciła Elżunia, zastępując drogę wyrwającej się do swoich zajęć Brygidę.

— Oj, oj, będą, będą! jeno mnie już puście; moje gwiazdeczki! — prosiła, wymykając się skaczącym koło niej cześnikównom.

— Coś jest w tem! — rzekła, kręcąc główką Elżunia.

— W czym? — zapytała, niby nie rozumiejąc Anusia.

— A no! — odrzekła młodsza cześnikówna, wskazując przez okno sanie, wiozące dużą beczkę i skręcające przed loszek, od którego sam pan cześnik miał tylko klucze.
— Cóż, beczka, albo to raz ojciec każe przywozić takie beczki i chowa je do lochu — rzekła obojętnie Anusia.
— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Elżunia i pochwyciwszy siostrę, wykręciła z nią kilkakrotnie oberka.
— Co też ty dokazujesz! — wołała zadyszana Anusia.
— Ja ci powiadam, że jeno patrzeć, a będą u nas tany! — rzekła, przytupując Elżunia.

— O tak: raz, dwa, trzy — raz dwa — wołała, skacząc po pokoju.
— Eh! — zapytała figlarnie Anulka, a oczki jej tak jak i siostrze zaświeciły radością.
— Anulko, Elżuniu! — ozwał się głos z przyległego pokoju.

— Mama woła! — rzekła Anulka.
I obie panienki co tchu pobiegły.
Pani cześnikowa zajęta była właśnie wydobywaniem z wielkiej skrzyni rozmaitych barwnych wstążek i kolorowych materyi, co ujrawszy Elżunia, spojrzała na siostrę takim wzrokiem, jakby jej chciała powiedzieć:

— A co, nie miałam racyi?
— Przymierzno Anusiu ten pasowy gorsecik, chciałabym też zobaczyć, czy masz taką samą figurę jak ja, kiedy byłam w twoim wieku — rzekła pani cześnikowa.

Anusia zarumieniała się jak wisienka, i zrzucając wędzianą, domowej roboty jubkę, wdziała z pasowej felpy wyszywany złotym galonem krakowski gorset.

— Jakby na nią był robiony! — zawołała, klaszcząc w ręce Elżunia.

— Prawda, zupełnie dobry — rzekła pani cześnikowa, przypatrując się z zadowoleniem starszej swej córce.

— Jeżeli gorset dobry, to i całe ubranie będzie pasowało — dodała, wyjmując białą w zielone pasy spódnice. Tylko fartuszek trzeba będzie dorobić — rzekła jakby do siebie.

— A ty Elżuniu, przymierz ten strój węgierski — mówiła dalej matka, wyjmując ciemno-niebieski, obcisły, suto szamerowany złotem spencerek, jaśniejszą nieco spódniczkę i śliczną z wysokim piórkiem czapeczkę.

— Miałam to wszystko na kuligu u mojej ciotki, pani starościny w Łosowcu, a teraz oto dla was jeszcze się przyda — mówiła cześnikowa, rozkładając nęcące wzrok stroje.

— A więc będzie kulig! kulig! — zawołała, klaszcząc w ręce Elżunia i rzucając się matce na szyję.

— Ale któż ci powiedział, że będzie kulig — odrzekła cześnikowa z uśmiechem, hamując wybuch wesołości i uściłski córki.

— A te stroje? — zapytała dziewczeczka, wskazując na rozłożony ubiór węgierski i stojącą w krakowskim gorseciku siostrę.

— Tak oto, przymierzyć wam kazałam; nie obiecuję wcale kuligu...

— Wszakże i to może się zdarzyć! — rzekł, śmiejąc się pan cześnik, który wszedłszy w tej chwili, dosłyszał rozmowę.

— Tatusiu, tatuleńku! — zawołały cześnikówny, całując ojca w rękę.

— A, moja dziewczeczka ustroiła się już, jakby na galę! — rzekł pan Lubołęcki, gładząc córkę po jasnych włosach.

— Kiedy, kiedy tatuleńku będzie kulig? — pytała, przyniżając się Elżunia.

— Ależ, ja wam żadnego kuligu nie obiecuję — mówił poważnie ojciec.

— A, a, tatusio powiedział: „I to może się zdarzyć!” — szczebiotała, patrząc ojcu w oczy, Elżunia.

— Ba, i nie jedno może się zdarzyć! zdarzyło się szarakowi uniknąć przed chartami, a zdarzyło się też księcin, że na pustych dołach zjadł jabłko, ziarnkami nabił fusyge i postrzelił lisa — mówił ojciec, żartując.

— Eh, o tym lisie, tośmy już nieraz słyszały! — rzekła z nadąsaną miną Elżunia.

— Elżuniu! — skarciła matka słowem i wzrokiem, za niewczesne odezwanie się rozpieszczoną nieco dziewczeczkę. Tymczasem Anusia dawała siostrze znaki, żeby zaprzestała natrętnych pytań, a przysunawszy się, szepnęła:

— Nie można się przecież tak rodzicom naprzykrzać;
— Najlepiej zajmij się robotą, to ci z głowy kulig i wszelkie zabawy wywietrzeją — rzekła matka, widząc nachmurzoną minę swej młodszej córki.

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

(Dalszy ciąg).

— Nauka — dowodził — wytwarza zjawiska, mogące zadziwić ludzi najbardziej cywilizowanych; o ileż większe zdumienie wywoływać powinna w umysłach dzikich i nieokrzesanych barbarzyńców. Możecie więc na mnie polegać; wiedza dostarczy nam środków do utrzymania króla murzyńskiego i jego towarzyszy w należytym dla nas szacunku.

To rzekłszy, Karliński zszedł, aby poczynić odpowiednie przygotowania. Gdy po dłuższej chwili powrócił, niósł w ręku misiurki, rękawice i hełmy świecące, a wyrobione z ogniw lekkiego aluminium.

— Uważam za zbyteczne — odezwał się — abyśmy na przyjęcie M'Bongwela w stroju naszym mieli czynić zmiany, co by nasunąć mogło przypuszczenie, że do jego odwiedzin przywiązujemy wielką wagę. Zatrzymamy więc nasze białe, flanelowe ubrania, jakie mieliśmy dziś rano podczas bytności Lualamby. Radzę jednak, abyśmy na wszelki wypadek pod owe ubrania pokładli, te oto koszulki druciane. Dzieci Murzyni bywają bardzo podstępni i rzeczą jest możliwą, że który z towarzyszy króla otrzymał od niego rozkaz zadania nam ciosu z tyłu, w plecy, dla stwierdzenia naszej nadnaturalnej potęgi; lepiej więc zabezpieczyć się przeciw niespodziewanym napaściom; w tym celu przynoszę znajdujące się w zbrojowni naszej misiurki, są jeszcze jak widzieć, rękawice i hełmy, ale tych nie przywdziejemy dzisiaj, bo nie należy zwracać uwagi, że jesteśmy uzbrojeni.

Minęły godziny południowe a podróżni napróżno wy-czekiwali spodziewanych gości; głucha cisza panująca do-koła mogła zdać się podejrzaną i niepokojącą, gdyby nie przeświadczenie o obrońnem na statku stanowisku. Do-piero około 4-tej po południu, gdy czterej przyjaciół, sie-dząc w fotelach oczekiwali gości na pokładzie, tunany ku-rzu, wznoszące się na drodze, zwiastowały zbliżanie się konnego orszaku. Jakoż po chwili M'Bongwela na czele świty swojej, pędząc jak wiatr galopem, dopadł obszernej polanki, wpośród której znajdował się statek, a na dany przez niego znak, wszyscy jeźdźcy jak jeden mąż osadzili na miejscu konie i stanęli obok siebie w szeregu. Ruch ten tak był świetnie wykonany, że pułkownik, przypatrując mu się, nie mógł powstrzymać objawu podziwu, i zawołał:

— Słowo daję, co za świetne wojsko tworzyliby ci ludzie po kilku miesiącach mustry!

— Nie przeczę — potwierdził baronet — obrót był zręczny, ale prawdopodobnie ten jeden tylko umieją i z nim się popisują. Patrzenie! ten oto, co zsiada z konia, musi być królem.

Nie mylił się sir Reginald; kilkunastu Murzynów z Lualambą na czele podążyło swemu panu na usługi i pod-

czas gdy dwóch trzymało konia za uzdę, reszta pomagała królowi zsiadać; wkrótce M'Bongwele z całym orszakiem na zaproszenie profesora, po drabinie sznurowej dostał się na statek.

Pierwszy rzut oka Europejczyków na króla, przekonał ich, że mają do czynienia z człowiekiem niezwyklej inteligencji. Skóra jego była ciemno-brązowego koloru, wzrost niemal sześciu stóp dosięgał i gdyby nie zbyt wielka otłość, budowa jego ciała byłaby nader proporcjonalna. Wargi miał grube, nos trochę spłaszczony, nie w tym stopniu jak to zwykle bywa u Murzynów, czoło wysokie, nieco wklęsłe, wzrok bystry, przenikający, a wyraz okrucieństwa i zaciętości, malujący się na twarzy, był dla naszych podróżnych przestrogą, jak wielką ostrożność w stosunku z nim zachować wypada. Przybyły zajął miejsce na fotelu między baronetem, profesorem i pułkownikiem (Mildmay, stosownie do rozporządzenia Karlińskiego wszedł do kajuty sterniczej). Lualamba zaś z całym orszakiem zasiedli w półkole na pomoście, zostawiwszy kilkuset niższej rangi towarzyszy na ziemi w pobliżu „Latającej Ryby.”

Król rozpoczął rozmowę od doraźnego zapytania, co skłonić mogło nieznanym mu gości do nawiedzenia jego kraju. W odpowiedzi profesor wskazał na znajdujące się w pobliżu ruiny, tłumacząc, że są one prawdopodobnie szczątkami starożytnego grodu, zbudowanego przed wiekami przez lud mało znany, i że on i jego towarzysze radziłyby dokładnie zwiedzić te zwałiska w nadziei, że odnalezione wśród nich rzeźby, lub inne zabytki, rzucą światło na pochodzenie, zwyczaje i historię mieszkańców tego kwitnącego niegdyś miasta.

Po otrzymaniu tego wyjaśnienia, król zamyślił się głęboko a potem nagle zagadnął podróżnych, skąd przybywają? Profesor rękę w górę wznosząc, wskazał na niebo.

— Jeśli jesteście duchami — zauważył M'Bongwele — powinniście znać przeszłość tych ruin, nie potrzebując czynić na miejscu poszukiwań; duchom wszystko musi być wiadome.

Uwaga ta przyjęta była szmerem, wyrażającym zadowolenie Murzynów, którzy cieszyli się, że król ich tak zręcznie umiał podejść cudzoziemców, a złośliwy uśmiech osiadł na chwilę na ustach M'Bongwele'a.

— Wiemy rzeczywiście dużo, ale nie wszystko — poprawił się profesor. — Wiadomości potrzebnych sami dochodzimy, czyniąc nieustanne badania i w tym celu większą część czasu spędzamy w podróżach, przenosząc się z miejsca na miejsce.

— W takim razie byłem w błędzie — odparł król — przypuszczając, że duchy są mądrymi i potężnymi istotami.

— Być może, iż miałeś przesadne o naszej potędze wyobrażenie — rzekł profesor z największym spokojem — w każdym razie mamy dość siły, aby w jednej chwili ciebie i twoje wojsko o zgubę przyprowadzić. Czy chcesz mieć małą róbkę tej władzy naszej?

M'Bongwele z rodzajem drżenia nerwowego spojrzął na siebie i z wysiłkiem wyszeptał:

— Tak.

— Widzę że twoi ludzie uzbrojeni w łuki — zauważył profesor — czy celnie strzelają?

— Są to najzręczniejsi strzelcy na świecie — odpowiedział król z dumą.

Karliński zawahał się na chwilę, miał zrobić niebezpieczne doświadczenie. Zaraz jednak wyciągnął z kieszeni małą, czerwoną kokardę i podając ją do rąk M'Bongwele'wi — rzekł:

— Przypnij tę kokardę, gdzie zechcesz do mego ubrania, jako cel dla twoich łuczników; zobaczymy, czy ich strzały będą celne.

Król obejrzał dokładnie podany sobie przedmiot, który następnie przechodził z rąk do rąk wszystkich jego towarzyszy. Gdy kokarda wróciła do M'Bongwele'a, ten odwrócił się na krześle i dotykając palcem piersi Leithbridge'a w okolicy serca, rzekł ze złośliwym uśmiechem.

— Przypnij ją tutaj, a ja sam strzelać będę.

Profesor był zaniepokojony. Niebezpieczeństwo groziło stąd, że łucznik zamiast kokardy gotów był wziąć za cel oko lub inną część głowy, co pociągnęłoby smutne następstwa. Siebie poświęcić miał prawo, ale nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy.

Pułkownik wstał od niechcenia, lekceważąco wzruszył ramionami, otrząsnął popiół z cygara i dał znak profesorowi, aby przypiął kokardę.

Wówczas błysła Karlińskiemu myśl szczęśliwa.

— Znaczek ten zbyt drohny, aby służył za cel — rzekł półgłosem do M'Bongwele'a. Nie sądzę, żebyś mógł w niego trafić, czy nie lepiej co większego przypiąć? Król ani chciał słuchać o czemś podobnym i pragnął popisać się zręcznością swoją i pilnie czuwał nad tem, aby kokarda w miejscu wskazanem przypiętą została.

Pułkownik obejrzał się za odpowiedniemi dla siebie miejscami; dostrzegł grupę drzew o rozłożystych gałęziach, sięgających niemal pokładu statku i stanął wprost nich, aby białe jego ubranie odbijało wyraźnie od ciemno-oliwnej zieleni liści; tam z jedną ręką w kieszeni, w drugiej trzymając niedopalone cygaro, oczekiwał spokojnie strzału. M'Bongwele tymczasem wziął łuk od jednego ze swoich towarzyszy i wyjawszy z kołczana strzałę, stanął po drugiej stronie pokładu w odległości 150 kroków od tej żywej tarczy celowej. Zwolna naciągnął łuk, nałożył cięciwę, przyłożył do oka i zatrzymał się nieco, jakby przypuszczał, że pułkownik cofnie się w ostatniej chwili. Zawiódł się jednak, bo żaden wyraz choćby najłżejszego niepokoju nie powstał na twarzy Leithbridge'a; obojętnie przypatrywał się on obłoczkom dymu, unoszącym się z jego cygara. Naraz strzała przeszła powietrze i odbiwszy się o kokardę padła na ziemię. Pułkownik odrzucił ją pogardliwie, odpiął kokardę i poszedł zając swoje dawne miejsce.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

REŚĆ: Zwierzęta przedpotopowe przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Mały zbawca, powiastka przez Zofię Kowerską. — Hej skrzypeczki, wiersz przez H. B. (z ryc.) — Jan Szczepanik (z portretem). — Kulig przez Z. Morawską. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — **Dodatek:** Trzy życzenia, komedyjka w jednej odsłonie (z ryc.) — Pawięta, wiersz przez Z. M. Złoty pieniądz. — Łamigłówni i rozwiązania — **Dodatek książkowy:** Powrócili, powieść dla dorastającej młodzieży przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

Trzy życzenia.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY:

KAROLEK lat 10.

MICHAŚ „ 8.

WRÓŻKA.

CHŁOPIEC Z CUKIERNI.

SCENA 1.

(Scena przedstawia pokój oświetlony lampą wiszącą u sufitu, drzwi po jednej stronie, po drugiej okno; szafa w głębi, pod ścianą zegar. Obaj chłopcy siedzą przy stole i czytają z jednej książki).

KAROLEK I MICHAŚ.

KAROLEK (czyta głośno). Nagle stanęła przed nimi wróżka i rzekła łaskawie: Prośby waszemi tu przywołana, obiecuję wam spełnić trzy życzenia, (przerzywa czytanie). Pomyśl tylko Michasiu, jakby to ślicznie było...

MICHAŚ (ze zdziwieniem). Gdyby co?

KAROLEK. Gdyby tak i do nas wróżka teraz przyszła...

MICHAŚ. Co za myśl! Alboż to nie wiesz, że wróżek już nie ma teraz na świecie.

KAROLEK. Tak niemądrym nie jestem, żebym tego nie wiedział, ale przecież mogę sobie życzyć, by nam jaka, równie łaskawa jak w tej bajce, zechciała spełnić życzenia.

MICHAŚ (zamyślając się). Czegobym ja sobie mógł życzyć?...

KAROLEK. O, mnie życzeń nie zabraknie, mam ich Bóg wie ile!

MICHAŚ. Ja też pewnie znalazłbym niejedno.

KAROLEK. To powiedz, o cobyś prosił wróżki, gdyby tak nagle przed nami stanęła?

MICHAŚ (bez namysłu). Chciałbym mieć duże, duże ciastko.

KAROLEK (śmieje się). Ha, ha, ha! jakiś ty niemądry! Czyż do tego potrzeba ci wróżki? Alboż to u babci nie mamy zawsze ciasteczek, ile tylko zjeść możemy.

MICHAŚ. No tak, u babci dostajemy zawsze, ale jabym teraz zaraz chciał mieć choć kawałeczek ciasta, albo jeszcze lepiej tortu (Idzie do okna). Powiedz mi, o której godzinie rodzice mogą być z powrotem?

KAROLEK (spogląda na zegar). Pewno nie prędzej jak o dziesiątej.

MICHAŚ. A która jest teraz?

KAROLEK. Właśnie wpół do dziewiątej.

MICHAŚ. Dopiero?

KAROLEK. A to leniuch z ciebie! Niedawno jeszcze sam chciałeś czekać powrotu rodziców, a teraz już widzę ciągnie cię coś do łóżka.

MICHAŚ. Wcale nie, tylko...

KAROLEK (przerzywa). Zresztą niema co mówić, bo przecież wszystkim wiadomo, że dzieci tak małe jak ty, wcześniej spać chodźć powinny. Co innego ja... ja już jestem duży...

MICHAŚ (placzliwym głosem). Ach Karolku, przecież ja tylko tak niby...

KAROLEK. To po cóż próżnem gadaniem czas zbierasz. Ot widzisz, gdyby teraz wróżka przyszła, ani byśmy wiedzieli, o co ją poprosić.



MICHAŚ. Masz słuszność. Więc pomyślmy, jakie są nasze największe życzenia.

KAROLEK. Wiesz o cobyś ją najpierw prosił?

MICHAŚ. No, a o co?...

KAROLEK. Żebym został zaraz ułanem, siedział w pięknym mundurze na ślicznym karym koniu, żebym miał duże wąsy i był już taki, taki wysoki (pokazuje ręką).

MICHAŚ. A widzisz, i tyś nie mędrszy ode mnie, bo do tego też niepotrzebna wróżka. Dorośnij tylko prędko, a ułanem zostać możesz i bez jej pomocy.

KAROLEK. To prawda! Za parę lat przecież, bądź co bądź, wyrosnę na dużego mężczyznę (po chwili namysłu). O, już teraz wiem! Życzyłbym sobie mieć własny duży, duży zamek, taki, w jakim mieszkali waleczni rycerze.

rze w dawnych czasach. (*Drzwi się otwierają i wchodzi wróżka w białej, powłóczystej sukni w wieńcu róż na głowie, ze złotą laseczką w ręku.*)

SCENA 2.

KAROLEK, MICHAŚ, WRÓŻKA.

WRÓŻKA (*z miłym uśmiechem*). Nie śpicie jeszcze? To dobrze.

(*Karolek i Michaś zrywają się z krzeseł i patrzą na wróżkę z wyrazem zachwytu i bojaźni.*)

KAROLEK (*cicho do Michasia*). Michasiu, powiedz mi czy to sen?

MICHAŚ (*półglosem*). Nie, to naprawdę wróżka przyszła do nas. Czy nie czujesz ślicznego zapachu tych róż, które ma w wianku na głowie?

KAROLEK. Toż wypada ją nam przywitać i podać fotel, aby siadła, tak mama zawsze przyjmuje gości (*podchodzi do wróżki i kłania się grzecznie*). Czy nie zechcesz pani spocząć trochę. Nasi rodzice wyjechali, ale wkrótce powrócą. (*Przysuwa jej fotel*).

WRÓŻKA. Dziękuję ślicznie. Uprzejmość twoja podobna mi się bardzo.

KAROLEK (*kłania się*). Pani jest bardzo łaskawą dla nas (*cicho do Michasia*). Czemu nie przywitałeś się do tychczas, niegrzecznym jesteś.

MICHAŚ (*przybiega do wróżki i podaje jej rękę*). Dobry wieczór, pani!

WRÓŻKA (*głuszyc Michasia po twarzy*). Miły z ciebie chłopaczek i pewnie zawsze grzeczny?

KAROLEK. Oj nie, często muszę się za niego wstydić.

WRÓŻKA. Ale za to, ty Karolku, umiesz zachować formy grzecznego obejścia.

KAROLEK (*słyszając swe imię, spogląda zdziwiony*). To pani wie, że ja jestem...

WRÓŻKA (*przerzywa mu*). Nietylko, że znam wasze imiona, ale wiem też, coście poprzednio mówili i dla tego właśnie przyszedłam tutaj, aby udzielić każdemu z was spełnienie trzech życzeń.

KAROLEK (*rozpromieniony*). Więc doprawdy mogę sobie życzyć czego tylko zechcę i pani to spełni? O, dziękuję, po stokroć dziękuję!

MICHAŚ. I ja mogę sobie życzyć także?

WRÓŻKA. Ależ naturalnie. Każdemu z was spełnię trzy życzenia.

KAROLEK I MICHAŚ (*skaczą po pokoju, wołając radośnie*). Co za szczęście! Dziękujemy ci dobra wróżko (*przybiegają do wróżki*).

WRÓŻKA (*grozi laseczką z uśmiechem*). Powstrzymajcie swe podziękowania, aż przekonacie się, ile rzeczywistego szczęścia da wam każde spełnione życzenie.

KAROLEK I MICHAŚ (*razem*). O napewno wiele, bardzo wiele!

WRÓŻKA. Cieszy mnie to bardzo. Tymczasem zostawiam was, byście swobodnie pomyśleć mogli. Pamiętajcie wszakże, że zaledwie wypowiecie życzenie, już się spełni.

KAROLEK. Oh, przecie jesteśmy już dosyć dużymi!

WRÓŻKA. Bądźcie mi zatem zdrowi, a wybierajcie dobrze. (*Wychodzi*).

(*d. c. n.*)

Pawięta.

BAJKA.

Na obszerny podwórzec wyszła drobiu zgraja: Kaczęta, indyczęta prosto wyszły z jaja, I kury, i kurczęta z kogutem na czele, Słowem, ptactwa różnego było bardzo wiele, Była też para pawi — i pawięta młode. — Wszystkie tam miały ziarno, i piasek i wodę. Cała też rzesza rano, w południe, wieczorem, Gdakała i krzyczała bardzo zgodnym chórem. Paw także z swą pawicą, chociaż byli w rzędzie Ptaków pięknych i mądrych, dla każdego wszędzie Byli grzeczni, uprzejmi, jako to przystało Ptakom wielkim, rozumnym.

To też z rzeszą całą Żyły w zgodzie największej, wzajem szanowani, Mówiono: „panie pawiu” a pawicy „pani” A przez grzeczność dla pawia i pani pawicy Pawiętom się kłaniano także na ulicy. A stąd one się wkrótce w wielką dumę wzbily: „Jesteśmy od nich lepsze.”

Tak sobie mówiły: „Nasz papa, kiedy pióra jak wachlarz roztoczy, To wszystkie, nawet ludzkie, olśniewa tem oczy. A mama, gdy pokręci swą główką barwistą, To jej składają hołdy. Rzeczą oczywistą, Nie możemy się bratać z całą rzeszą ptaków, Bo wszak nie należymy do pospolitaków!” I zaczęły przybierać miny bardzo dumne, Jak to zwykle stworzenia czynią nierozumne.

Lecz kogut im zaśpiewał głośno: „Kukuryku!” I wypalił oracyę taką przy kurniku: „Przez wzgląd na cnych rodziców i was szanowano, Nie żeby dla was samych ten szacunek miano. Nie wiemy, co z was będzie, kiedy dorośnięcie, Bo na szacunek samym trza zasłużyć w świecie. Niechaj więc każde z młodych o tem zapamięta, Ze śmiesznie jest się pysznić, jak owe pawięta.” To mówiąc, znów zaśpiewał swoje kukuryku, Pawięta zaś ze wstydem stały przy kurniku.

Z. M.

ZŁOTY PIENIĄDZ.

(Dalszy ciąg).

— Baw się Anielko, masz! układaj sobie bukiety, rób wianki, powąchaj jak pachną, a jeśli mało, to ja ci więcej przyniosę.

Bawi się więc, układa, wiąże, z cienkich jednak paluszków wypadają barwne kwiaty, głowa się podnosi w górę ku niebu, a usta szepczą—

— Boże, jakiś Ty dobry, że przy mojem cierpieniu dałeś mi takiego kochanego brata.

Takie spacerory odbywali co niedziela prawie i powracali z nich zawsze wypoczęci, ożywieni, ufnie w lepszą przyszłość.

Pewnego wieczoru, a było to właśnie po jednej z takich niedziel, obfitej w zamiary na przyszłość i marzenia o rychłym wyleczeniu Anielki, przystano od państwa Zaniewskich po Władka, aby przyszedł z małym hebelkiem do sheblowania boków szufladki, która nie chciała się otworzyć.

Chłopiec chwycił potrzebne narzędzie i pogwizdując pobiegł żwawo.

W pokoju, do którego wprowadził go służący, przy biurku stali państwo Zaniewscy i dzieci.

— Chodź no, chodź, ty mały majstrze — zawołał pan domu — zobaczmy, co ty potrafisz. Patrz, klucz w zamku obraca się z łatwością, więc zamek nie przekrecony, szufladka jednak ani drgnie, musiała się chyba rozeschnąć. Cóż tu na to poradzić?

Władek uśmiechnął się.

— To ja zobaczę, proszę pana.

Uklęknął przed biurkiem na dywanie, zaczął próbować. Nie, ani drgnie.

— To proszę pana, trzebaby tę górną szufladkę wysunąć, ja później z pod spodu trochę młotkiem podbiję, to chociaż spaczona łatwiej może wyjdzie.

Wyjęto, i okazało się, że Władek miał słuszność. Pociągnął silnie, raz, drugi i szufladka wyskoczyła nagle, lecz cała jej zawartość wysypała się na ziemię. Były tam różne drobiazgi i kosztowności pani domu i woreczek z pieniędzmi, które rozsypały się po dywanie.

Wezwano służącego ze świecą i zaczęto zbierać. Władek sięgnął po hebel, by boki szufladki sheblować, gdy tuż obok niego zaświecił złoty pieniądz. Chłopiec uczuł nagle w sobie złą pokusę.

— Oni mają tyle, tacy są bogaci, jeden pieniądz dla nich to nic, a dla nas bardzo wiele! Weź, to Anielkę prędzej do doktora powieziesz.

Serce w chłopcu zabiło silnie, pulsa uderzyły mu w skroniach!

— I staniesz się złodziejem — ostrzegało go sumienie — daj pokój, po cudzą własność nie należy nigdy wyciągać ręki.

Władek głos ten zrozumiał, bo miał szlachetne serce. Odepchnął niegodziwą myśl tak szybko, jak przyszła; podniósł pieniądz i oddał go pani domu.

Pozbierano wszystko, pani postawiła pudełko z pieniędzmi na biurku, Władek wziął się do roboty. Hebel szybko przesunął się po gładkiej dnie szufladki, Stefunia i Janek przyglądali się z zajęciem pracy chłopca.

— Czy to bardzo trudno, Władku, wodzić tak tym heblem po desce? — spytała dziewczynka?

— Ej, teraz to nie, panienko, bo deseczka już obrobiona, ale niekiedy, to się aż gorąco robi, tak opornie idzie.

Janek z politowaniem spojrział na Władka.

— A czy często masz taką ciężką robotę?

— Zawsze, paniczku, ale co tam, ja już do tego jestem przyzwyczajony i chciałbym nawet ciężiej jeszcze pracować, gdybym wiedział...

Nie dokończył. Przed oczami mignął mu złoty pieniądz! — Coby to za radość była, gdyby mógł taki złoty pieniądz zapracować bez wiedzy ojca! Włożyłby go zaraz do skarbonki i nic nie powiedział, dopiero, jakby ją rozbili. Oh, co za radość! co za szczęście! Ale do tego nigdy nie dojdzie, to marzenie!

Cień smutku przeszedł po twarzy chłopca, a z piersi, może mimowoli, wyrwało się ciche westchnienie! Nachylił się niżej ku ziemi.

— Czemu nie dokończyłeś, Władku tego, coś zaczął? — zagadnął tymczasem Janek — i dla czego tak smutnie westchnąłeś?

Władek milczał.

— Powiedz, czy masz jakie zmartwienie?

— Nie, paniczku, mam tylko jedną chęć.

— A co takiego? — zapytały razem dzieci.

— Chciałbym mieć kiedy dużo roboty, takiej ciężkiej, trudnej, abym za nią mógł dostać dużo pieniędzy.

— Na co? — spytała Stefunia — czy na chleb? A może ty głodny jesteś, Władku, czekaj, przyniosę ci zaraz moje ciastka, dostałam ich dzisiaj kilka.

Pobiegła. Jej zwinne nóżki mignęły tylko przed oczami Władka; lekka jak sarenka zdawała się nie dotykać prawie ziemi. Ściągał ją wzrokiem, a gdy przebiegłszy kilka pokoi, zniknęła przy jakiejś szafce, Władek zwrócił się do Janka:

— Chciałbym paniczku zapracować dużo pieniędzy — rzekł przyciszonym głosem — abym mógł kiedy widzieć moją ukochaną Anielkę taką zdrową i zwinną jak panienka. Zbieramy dla niej do skarbonki pieniądze na kurację, ale coż kiedy nam idzie to jakoś bardzo powoli, bo robotę nie zawsze znaleźć można.

Janek zamyślił się jakoś, a tymczasem nadbiegła Stefunia.

— Masz, masz, Władku — rzekła, wyjmując z fartuszka dwa duże ciastka, jedno dla ciebie, a drugie dla Anielce i powiedz, że to ode mnie!

Władek uszczęśliwiony, uprzejmie podziękował panience za ten przysmak, a że i robota była już skończona, bo szufladka wsuwała i wysuwała się doskonale, zgarnął heblowiny do fartucha, ciastka schował do kieszeni swej wyszarzanej kurtki i usunął się na bok.

— A toś ty, Władku, doskonały majster — rzekła pani Zaniewska, próbując wyciągnąć szufladkę — i pocciwy podobno z ciebie syn i brat. Opowiadał mi Janek, że ty już ojcu dzielnie pomagasz.

Władek zaczerwienił się silnie, usłyszawszy tę pochwałę z ust pani, nie przypuszczał, aby panicz rozmawiał o nim ze swą mamą.

— I podobno macie ogromną ochotę uczyć się oboje — ciągnęła dalej — Janek prosił mnie nawet, abym wam pozwoliła przychodzić do ogrodu na wspólne czytanie, bardzo chętnie zgadzam się na to.

Uszczęśliwiony chłopiec posłyszawszy nowinę, pochwycił rękę pani Zaniewskiej i serdecznie ucałował.

— Dziękuję pani, bardzo dziękuję, tacy państwo dobrzy — wyszeptał.

(d. c. n.)

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

Helenka z rozkazu matki niosła na tacy kasztany do kuchni.

— A to dopiero będzie ucztła! — zawołał młodszy braci-
szek Stefcio. Założyłbym się, że tu jest z jakie sto kasztanów!

— I odrazu przegrałbyś zakład! — odrzekła roztropna
dziewczynka. Zresztą sam łatwo możesz policzyć, ile mam ka-
sztanów. Otóż gdyby było jeszcze drugi raz tyle kasztanów,
ile jest na tacy i jeszcze połowa tej ilości, i jeszcze jedna czwar-
ta tejże i jeden kasztan w dodatku, to dopiero wtedy byłoby
sto kasztanów.

Ile Helenka niosła kasztanów i jak to Stefcio obliczył?

Pierwsi, którzy z Warszawy i prowincyi nadesłali dobre roz-
wiązanie, otrzymają po książeczce.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

od Turkawki dla Wichury.

Kt. p.l.n.. n..k. b.g.b.jn.j s.l.ch.
.ż.cz. j.j s.rc. . n.. t.lk. .ch.
Cz.n.m. d.w.dz., ż. n. gł.s j.j tkl.w.
T.n w ż.c.. sw.m b.dz.. szcz.sl.w.

ZAGADKA.

Trzy litery jednakowe
Dają wyrazów osnowę.

A w miarę jak się szyk zmienia,
Rzecz odrębnego znaczenia.

Więc skałą w morskiej głębinie,
I chrześcijańską świątynię.

I znów ten sam szyk zręczny,

Przedstawi instrument dźwięczny,

Którym niegdyś Dawid mały,

Saulowe kołł szalały.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4.

Szarady: Pi — la — wa.

Zagadki: Serce.

Łamigłówni w trójkącie:

A l p u h a r a

L i t a w o r

P i l i c a

U n c y a

H e b e

A b o

R e

A

Zadania konikowego:

Nie odrazu Kraków zbudowano.

Skrzynka do listów.

Pani Natalii T. Żądany program postaramy się przysłać sz.
Pani. Dla Hali premium posyłamy.

Radzi jesteśmy, że powiastki i artykuły pomieszczone
w Wieczorach Polcia Dz. z zajęciem czyta, premium wysłaliśmy
jak również i dla Maryi Ł. w Grójcu.

Chrabąszcz leśny nadesłał dobre rozwiązania. Łamigłównę
przejrzymy, lecz zwracamy uwagę, że napisana niezbyt
starannie.

Pani J. Swiech za życzenia dziękujemy, i wzajemnie choć
spóźnione najlepsze na ten rok przesyłamy.

Kazimierzowi O. zaginiony numer wysłaliśmy; premium
przeznaczone jest dla całorocznych prenumeratorów.

Pani M. Wek. pięć książeczek za rub. 1 wysłaliśmy, opłata
poczty wyniosła nadto kop. 30.

Dziwięcioletniemu prenumeratorem. Druga część „Wypra-
wy Latającej Ryby,” drukowana w tym roku, stanowi oddzielną
niezależną od pierwszej całość, dlatego też odbitek części pierw-
szej nie mamy, a ponieważ drukowaną była w samym numerze,
trzebaby nabyć całe drugie półrocze Wieczorów z roku zeszłego.

Alf i Henryk W. przysłali łamigłówni własnego układu,
Krakowiczek śmiały dobre rozwiązanie.

Niezabudka z nad Bystrzycy swoim pierwszym tak starannie na-
pisanym liścikiem ucieszyła mnie bardzo, spodziewam się, że czę-
ściej podobne otrzymywać będę, że doniesiesz mi czy jesteś naj-
starszą z rodzeństwa, czy oprócz ciebie siostrzyczka lub braciszek
czytają Wieczory? Łamigłównę przejrzą w redakcyi, może na
przyszły raz ułożysz inną, kropkowane rzadziej są potrzebne.

Bardzo cię proszę Czarna Jagódka, byś mnie nigdy inaczej
jak po imieniu nie nazywała, za obietnicę częstych liścików dzie-
kuję, a przyrzekam chętnie wskazywać spostrzeżone w nich błędy;
w ostatnim nie wyszperałam żadnego; rozwiązania dobre, łami-
głównę Redakcja przejrzy.

Czarnemu Koziółkowi za pamięć dziękuję, premium wysłano.

Drugi list Rumianego Jabłuszka musiał pewno zaginać, bo
ja żadnego z waszych liścików bez odpowiedzi nie pozostawiam.
W artymogryfie każda litera oznaczona jest liczbą, trzeba więc
odnaleźć jaka liczba jaką literę oznacza, powtarzające się litery
zawsze oznaczone są tą samą liczbą.

Zajączkowi z Ukrainy za miłe chociaż spóźnione życzenia
bardzo dziękuję i całem sercem żałuję, że brzydka i niemila odra-
powała wam Święta. Łamigłówni twoje oddałam w Redakcyi,
lecz powiedziano mi, że ułeczka Aryadny za wiele ma kratek
i w skutek tego nie może się pomieścić w jednej szpalcie, prosi-
my o inną, najwyżej na ośm kratek. Nusi i Stasi za pamięć dzie-
kuję i nawzajem pozdrawiam serdecznie.

Jadwini F. Premium wręczyliśmy oddawcy twego listu.
Bardzo się cieszę, że ci się „Wspomnienia Haliny” podobały,
a dziękując za miły liścik, polecam się nadal twojej pamięci i pro-
szę, byś mnie nazywała wprost Jaskółką, o „pannie Jaskółce” sły-
szec nie chcę.

Kitucha pragnie ładniej pisać i traci nadzieję by to kiedyś
nastąpić mogło! W tak młodym wieku trudno o ładne pismo,
ale chcąc go sobie wyrobić, przez dłuższy czas trzeba pisać
w dwóch liniach, by litery były proste i równe, należy też pisać
wolno i uważnie, a przy dobrych chęciach prawie pewną jestem,
że w niedługim czasie o nagrodę na konkursie kaligraficznym bę-
dziesz się mogła ubiegać.

O Wichurze i Szczebiotce nic ci nie donoszę, ukrywają się
pod pseudonymami, więc ich imion zdradzać nie mogę. Twemu
Cichemu braciszkowi za parę słów w dopisku dziękuję.

Jaskółka.